



STEPHEN KING

George Stark
1975 - 1988

Mroczna
połowa

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE DARK HALF

Copyright © Stephen King 1989
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Marek Fedyszak 2012

Redakcja: Anna Magierska

Ilustracja na okładce: Mateusz Horbowiec

Opracowanie graficzne okładki: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)



Życie ludzi – życie prawdziwe w odróżnieniu od zwykłej fizycznej egzystencji – zaczyna się w różnych momentach. Prawdziwe życie Thada Beaumonta, chłopaka, który urodził się i wychował w okolicach Ridgeway w Bergenfield w stanie New Jersey, zaczęło się w 1960 roku. Wtedy przydarzyły mu się dwie rzeczy. Pierwsza nadała kształt jego życiu, druga omal go nie zakończyła. Thad Beaumont był wówczas jedenastolatkiem.

W styczniu zgłosił nowelę na konkurs pisarski wspierany przez „American Teen”. W czerwcu dostał od redaktorów magazynu list z informacją, że zdobył wyróżnienie w kategorii Beletrystyka. W dalszej części listu stwierdzono, że jurorzy przyznaliby mu drugą nagrodę, gdyby z jego zgłoszenia nie wynikało, iż do wieku, w którym zostanie prawdziwym „amerykańskim nastolatkiem”, brakuje mu jeszcze dwóch lat. Redaktorzy napisali, że mimo to jego nowela zatytułowana *Za progiem domu Marty’ego* jest dziełem niezwykle dojrzałym i należą mu się gratulacje.

Dwa tygodnie później z redakcji „American Teen” przyszedł dyplom uznania. Listem poleconym wartościowym. Widniało na nim jego nazwisko zapisane literami zdobionymi w tak wymyślne staroangielskie esy-floresy, że z trudem je odczytał, oraz złota pieczęć u dołu z wytłoczonym logo czasopisma – sylwetkami ostrzyżonego na jeża chłopaka i dziewczyny z końskim ogonem tańczących jitterbuga.

Matka wzięła w ramiona Thada, cichego, poważnego chłopca,

któremu wszystko leciało z rąk i który często potykał się o własne stopy, i obsypała go pocałunkami.

Na ojcu nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Skoro to było tak cholernie dobre, czemu nie dali mu forsy? – mruknął ze swojego głębokiego fotela.

– Glen...

– Nieważne. Może gdy już skończysz go obściskiwać, nasz Ernest Hemingway przyniesie mi piwo.

Matka Thada nie powiedziała nic więcej, ale kazała oprawić pierwszy list oraz dyplom, który przyszedł po nim, płacąc za to z pieniędzy na drobne wydatki, i powiesiła je w jego pokoju nad łóżkiem. Gdy przychodzili do nich krewni lub inni goście, prowadziła ich tam, żeby sobie obejrzel. Mówiła im, że pewnego dnia Thad zostanie wielkim pisarzem. Zawsze czuła, że wielkość jest mu przeznaczona, i oto pojawił się pierwszy dowód. Thad był tym zażenowany, lecz za bardzo kochał matkę, by to powiedzieć.

Zażenowany czy nie, Thad uznał, że jego matka ma przynajmniej po części rację. Nie wiedział, czy ma zadatki na wielkiego pisarza, ale w każdym razie pisarzem zamierzał zostać. Czemu nie? Był w tym dobry, a co ważniejsze, gdy dobierał właściwe słowa, czuł wielką frajdę. A przecież nie mogli pozbawiać go nagród pieniężnych ze względów formalnych w nieskończoność. Kiedyś przestanie mieć jedenaście lat.

Druga ważna rzecz przydarzyła mu się w sierpniu 1960 roku. Wtedy właśnie zaczął mieć bóle głowy. Z początku nie były silne, ale gdy we wrześniu szkoła znowu otwarła podwoje, łagodne utajone bóle w skroniach i przy czole przerodziły się w potworne, długie i wyczerpujące katusze. Gdy go chwytały, mógł tylko leżeć w przyciemnionym pokoju i czekać na śmierć. Pod koniec września miał nadzieję, że umrze. A w połowie października ból wzmógł się do tego stopnia, że Thad zaczął się bać, iż do tego nie dojdzie.

Nadejście tych okropnych bólów zwykle sygnalizował urojony dźwięk słyszalny tylko dla niego, przypominający odległy pisk tysięcy małych ptaków. Czasem wydawało mu się, że widzi te ptaki – myślał, że to wróble – jak dziesiątkami obsiadają druty telefoniczne i dachy domów, tak jak czyniły wiosną i jesienią.

Matka zaprowadziła go do doktora Sewarda.

Doktor Seward zbadał mu dno oczu za pomocą oftalmoskopu i pokręcił głową. Potem, zaciągając zasłony i wyłączając górne światło, kazał Thadowi popatrzeć na białą ścianę w gabinecie. Szybko zapalając i gasząc na przemian latarkę, rzucał na nią jaskrawy krąg światła.

– Czy to sprawia, że dziwnie się czujesz, chłopcze?

Thad pokręcił głową.

– Nie kręci ci się w głowie? Jakbyś miał zaraz zemdleć?

Thad znowu zaprzeczył ruchem głowy.

– Czujesz coś? Na przykład woń zgniłych owoców lub płonących szmat?

– Nie.

– A twoje ptaki? Słyszałeś je, gdy patrzyłeś na błyski światła?

– Nie – odparł Thad zdziwiony.

– To nerwy – rzekł później ojciec Thada, gdy chłopak został odesłany do poczekalni. – Ten cholerny dzieciak jest kłębkim nerwów.

– Myślę, że to migrena – wyjaśnił doktor Seward. – Niezwykła u tak młodej osoby, ale spotykana. A on wydaje się bardzo... uczuciowy.

– Bo taki jest – odparła Shayla Beaumont nie bez aprobaty.

– Cóż, kiedyś może znajdzie się jakieś lekarstwo. Na razie, niestety, będzie musiał po prostu jakoś to przecierpieć.

– Taak, a my razem z nim – zauważył Glen Beaumont.

Nie były to jednak nerwy ani migrena, nie były to również jedyne dolegliwości.

Cztery dni przed Halloween Shayla Beaumont usłyszała wrzask jednego z chłopaków, z którymi Thad codziennie czekał na szkolny autobus. Wyjrzała przez okno w kuchni i zobaczyła swojego syna skręcającego się w konwulsjach na podjeździe. Pojemnik z drugim śniadaniem leżał obok, zapakowane do niego owoce i kanapki wysypały się na gorącą nawierzchnię podjazdu. Wybiegła przed dom,

przepłoszyła pozostałe dzieci, po czym stała bezradnie nad Thadem, bojąc się go dotknąć.

Gdyby duży żółty autobus z panem Reedem za kierownicą podjechał tam trochę później, Thad mógłby umrzeć u stóp podjazdu. Ale pan Reed był w Korei sanitariuszem. Zdołał odchylić głowę chłopca i udrozić mu drogi oddechowe, nim Thad zadławił się na śmierć własnym językiem. Karetka zabrała go do szpitala okręgowego w Bergenfield i gdy chłopca wieziono na wózku, doktor Hugh Pritchard akurat przez przypadek znajdował się w izbie przyjęć. Popijał kawę i wymieniał się golfowymi kłamstwami z jakimś przyjacielem. Hugh Pritchard przypadkiem był też najlepszym neurologiem w stanie New Jersey.

Lekarz zaordynował prześwietlenie i obejrzał zdjęcie. Pokazał je potem Beaumontom, prosząc, by przyjrzeni się ze szczególną uwagą niewyraźnemu cieniowi, który zakreślił żółtą kredką świecową.

– To – rzekł. – Co to takiego?

– Skąd, u licha, mamy wiedzieć? – odparł Glen Beaumont. – To pan jest lekarzem.

– Zgadza się – stwierdził oschle Pritchard.

– Żona mówiła, że rzucał się jak wściekły – dodał Glen.

– Jeżeli sądzicie, że miał atak, to owszem, miał – rzekł doktor Pritchard. – Jeżeli myślicie, że był to atak epilepsji, to jestem prawie pewien, że nie. Tak poważny atak z pewnością byłby silnym napadem padaczkowym, a Thad nie wykazał żadnej reakcji w teście świetlnym Littona. Tak naprawdę, gdyby cierpiał na silną epilepsję, nie potrzebowaliby państwo lekarza, żeby to stwierdzić. Ilekroć na ekranie waszego telewizora pojawiałyby się pasy, Thad rzucałby się na dywanie w salonie.

– W takim razie co mu dolega? – zapytała nieśmiało Shayla.

Pritchard odwrócił się ku kliszy umieszczonej na podświetlonej ramie.

– Co mu dolega? – powtórzył i znowu postukał w zakreślony obszar mózgu. – Nagłe pojawienie się bólów głowy w zestawieniu z brakiem uprzednich ataków sugeruje, że państwa syn ma guza mózgu, przypuszczalnie małego i, miejmy nadzieję, łagodnego.

Glen Beaumont gapił się na lekarza z kamiennym wyrazem

twarży, podczas gdy jego żona stała obok niego i ocierała łzy chusteczką. Płakała bezgłośnie. Ten cichy płacz był wynikiem wielu lat małżeńskiej tresury. Uderzenia pięści Glena były szybkie i bolesne i prawie nigdy nie zostawiały śladów, a po dwunastu latach cichego smutku Shayla przypuszczalnie nie potrafiłaby głośno płakać, nawet gdyby chciała.

– Czy to znaczy, że chce mu pan pociąć mózg? – zapytał Glen z typowym dla siebie taktem i delikatnością.

– Tak bym tego nie ujął, panie Beaumont, ale sądzę, że zabieg eksploracyjny trzeba wykonać – odparł lekarz i pomyślał: Jeśli Bóg naprawdę istnieje i jeśli naprawdę stworzył nas na swój obraz i podobieństwo, to nie chcę się zastanawiać, dlaczego tak cholernie dużo ludzi tego pokroju chodzi po świecie i decyduje o losie tylu innych osób.

Glen milczał przez długi czas z pochyloną głową i czołem zmarszczonym w zadumie. W końcu uniósł głowę i zadał pytanie, które najbardziej go prześladowało:

– Niech pan mi powie prawdę, doktorze: ile to wszystko będzie kosztowało?

Pierwsza zobaczyła je instrumentariuszka.

Jej przeraźliwy okrzyk był czymś szokującym w sali operacyjnej, gdzie przez ostatnie piętnaście minut słychać było jedynie wypowiedane półgłosem polecenia doktora Pritcharda, szum masywnego respiratora i krótkotrwałe świst piły chirurgicznej.

Pielęgniarka cofnęła się chwiejnie, strąciła ze stolika chirurgicznego na kółkach tacę, na której równo ułożono dwa tuziny instrumentów. Taca spadła na wykafelkowaną podłogę z głośnym szcękaniem, a po nim rozległo się wiele cichszych brzęków.

– Hilary! – krzyknęła siostra przełożona.

Jej głos był pełen zaskoczenia. W szoku zapomniiała się do tego stopnia, że aż zrobiła pół kroku w kierunku uciekającej kobiety w trzepoczącym zielonym fartuchu.

Doktor Albertson, który asystował przy operacji, kopnął ją w łydkę obutą w pantofel stopą.

– Pamiętaj, proszę, gdzie jesteś.

– Dobrze, panie doktorze.

Odwróciła się natychmiast, nie patrząc nawet w stronę drzwi sali operacyjnej, gdy te otworzyły się z hukiem, a podekscytowana Hilary opuściła scenę, wciąż wyjąc niczym pędzący wóz strażacki.

– Włóż sprzęt do sterylizatora – polecił Albertson. – Natychmiast. Migiem!

– Dobrze, panie doktorze.

Dyszając ciężko, wyraźnie podenerwowana, lecz panując nad sobą, zaczęła zbierać instrumenty.

Wydawało się, że doktor Pritchard w ogóle tego nie zauważył. Spoglądał z wytężoną uwagą w okienko, które zostało wycięte w czaszce małego Thada.

– Niewiarygodne – wymamrotał. – Po prostu niewiarygodne. To naprawdę nadaje się do książek. Gdybym nie widział tego na własne oczy...

Ocknął się chyba, słysząc szum sterylizatora, spojrzał na doktora Albertsona i rzekł ostro:

– Ssanie!

Zerknął na pielęgniarkę.

– A co ty robisz, do kurwy nędzy? Rozwiązujesz krzyżówkę z niedzielnego „Timesa”? Rusz tyłek i przynieś narzędzia!

Podeszła z instrumentami na nową tacy.

– Lester, daj mi aspirator – rzekł Pritchard do Albertsona. – Natychmiast. Potem pokażę ci coś, co widywałeś dotąd tylko w jarmarcznych gabinetach osobliwości.

Albertson przetoczył pompę ssącą, nie zważając na siostrę przełożoną, która uskokczyła z drogi, balansując zręcznie tacą z instrumentami.

Pritchard spoglądał na anestezjologa.

– Utrzymuj odpowiednie ciśnienie, przyjacielu. O nic więcej nie proszę.

– Ma sto pięć na sześćdziesiąt osiem, doktorze. Niewzruszone jak skała.

– Cóż, jego matka twierdzi, że leży przed nami nowy William Szekspir, więc utrzymuj je na tym poziomie. Odessij krew, Lester...

tylko nie łaskocz go tym cholernym ssakiem.

Albertson usunął krew aspiratorem. Sprzęt monitorujący pikał miarowo, monotonnie i pokrzepiająco na drugim planie. Potem lekarz wciągał jedynie własny oddech. Czuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios pięścią w spłot słoneczny.

– O mój Boże. Chryste, Chryste Panie. – Cofnął się na moment, po czym pochylił się bliżej. Jego błyszczące oczy widoczne nad maską i za szklami okularów w rogowych oprawkach zrobiły się okrągłe z nagłego zaciekawienia. – Co to jest?

– Myślę, że widzisz, co to jest – odparł Pritchard. – Tyle że oswajasz się z tym dopiero po chwili. Czytałem już o tym, ale nie spodziewałem się, że naprawdę to kiedyś zobaczę.

Mózg Thada Beaumonta miał kolor zewnętrznej krawędzi muszli – szary z nieznaczną domieszką różu.

Z gładkiej powierzchni opony twardej wystawało ślepe i zniekształcone oko ludzkie. Mózg lekko pulsował. Wraz z nim pulsowało oko. Można było odnieść wrażenie, że próbuje do nich mrugnąć. I właśnie to wrażenie zmusiło instrumentariuszkę do ucieczki z sali operacyjnej.

– Chryste Panie, co to jest? – znowu zapytał Albertson.

– Nic – odparł Pritchard. – Kiedyś mogło być organem żywej, oddychającej istoty ludzkiej. Teraz jest niczym. Poza tym, że źródłem kłopotu. Tak się jednak składa, że możemy sobie z nim poradzić.

Doktor Loring, anestezjolog, zapytał:

– Mogę zerknąć, doktorze Pritchard?

– Pacjent nadal stabilny?

– Tak.

– W takim razie proszę. Będzie o czym opowiadać wnukom. Ale niech pan się pośpieszy.

Podczas gdy Loring przyglądał się oku, Pritchard zwrócił się do Albertsona:

– Potrzebuję piły. Otworzę go trochę szerzej. Wtedy je zbadam. Nie wiem, czy uda mi się wydobyć je w całości. Ale mam taki zamiar.

Les Albertson, pełniący teraz funkcję siostry przełożonej, wcisnął świeżo wysterylizowany zgłębnik w dłoń chirurga, gdy ten go zażądał. Pritchard, który nucił pod nosem temat przewodni z *Bonanzy*,

pracował szybko i niemal bez wysiłku, tylko sporadycznie zerkając w lusterko zamontowane na końcu zgłębnika. Pracował głównie na dotyk. Albertson powiedział później, że nigdy w życiu nie był świadkiem tak porywającego, instynktownego zabiegu operacyjnego.

Oprócz oka znaleźli część nozdrza, trzy paznokcie i dwa zęby. W jednym z zębów był mały ubytek. Oko pulsowało i próbowało mrugnąć aż do chwili, gdy Pritchard przy użyciu cienkiego jak igła skalpela najpierw je nakłuł, a potem wyciął. Cała operacja od wstępnego badania do wycięcia trwała tylko dwadzieścia siedem minut. Pięć kawałków tkanki spadło z plaśnięciem do nierdzewnej stalowej miski na tacy ustawionej przy ogolonej głowie Thada.

– Myślę, że mamy jasność – rzekł w końcu Pritchard. – Wydaje się, że cała obca tkanka była połączona szczątkowymi zwojami nerwowymi. Nawet jeżeli są jeszcze inne kawałki, to najprawdopodobniej je uśmierciliśmy.

– Ale... jak to możliwe, skoro chłopak żyje? Przecież to wszystko stanowiło część jego organizmu, prawda? – zapytał zdumiony Loring.

Pritchard wskazał na tacę.

– Znajdujemy w jego głowie oko, zęby i pęczek paznokci, a ty myślisz, że to stanowiło część jego organizmu? Czyżbyś zauważył u niego brak paznokci? Chcesz sprawdzić?

– Ale nawet rak jest tylko częścią własnego...

– To nie był rak – wyjaśniał cierpliwie Pritchard, a jego ręce w tym czasie robiły swoje. – Często tak bywa, że rodzi się jedno dziecko, choć w rzeczywistości rozpoczęło ono swoje życie jako bliźnię, przyjacielu. Może się to zdarzać aż w dwóch przypadkach na dziesięć. Co się dzieje z drugim płodem? Silniejszy wchłania słabszy.

– Wchłania? Chce pan powiedzieć: zjada? – zdziwił się Loring, który trochę pozieleniał na twarzy. – Czy mówimy tutaj o kanibalizmie *in utero*?

– Nazywaj to, jak chcesz; to dość częsta sytuacja. Jeżeli kiedyś powstanie sonograf, o którym stale się mówi na konferencjach medycznych, może rzeczywiście dowiemy się, jak częsta. Ale bez względu na jej częstotliwość to, co ujrzeliśmy dzisiaj, zdarza się o wiele rzadziej. Część jednego z tych bliźniąt nie została wchłonięta i przypadkiem trafiła do płata przedczołowego. Równie dobrze mogła

wylądować w jelitach, śledzionie, rdzeniu kręgowym, gdziekolwiek. Zwykle coś takiego oglądają wyłącznie patolodzy... wychodzi to na jaw podczas sekcji zwłok... i nigdy nie słyszałem, żeby obca tkanka była przyczyną zgonu.

– No to co stało się tutaj? – zapytał Albertson.

– Coś ponownie uruchomiło rozwój tej tkanki, która rok temu przypuszczalnie miała submikroskopowe rozmiary. Zegar wzrostu wchłoniętego bliźnięcia powinien był się na zawsze zatrzymać co najmniej miesiąc przed porodem, ale znowu jakoś został nakręcony... i to cholerstwo rzeczywiście zaczęło rosnąć. W tym, co się stało, nie ma żadnej tajemnicy; samo ciśnienie śródczaszkowe wystarczyło, by chłopak miał bóle głowy i dostał konwulsji, po których trafił tutaj.

– Rozumiem – odparł cicho Loring – ale dlaczego to się stało?

Pritchard pokręcił głową.

– Jeżeli za lat trzydzieści wciąż będę się zajmował czymś trudniejszym od gry w golfa, możesz mnie o to zapytać. Pewnie będę znał odpowiedź. Teraz wiem tylko, że zlokalizowałem i wyciąłem bardzo szczególny i bardzo rzadki typ guza. Łagodnego guza. I o ile nie nastąpią żadne powikłania, sądzę, że rodzice chłopaka nie muszą wiedzieć nic więcej. Przy jego ojcu nawet troglodyta wyglądałby na intelektualistę. Nie wyobrażam sobie, bym mógł mu wytłumaczyć, że zrobiłem skrobankę jego jedenastoletniemu synowi. Les, zaszyjmy go – zaproponował, po czym jakby po namyśle zwrócił się uprzejmym głosem do pielęgniarki: – Ta głupia cipa, która stąd zwała, ma zostać zwolniona. Proszę to sobie zapisać.

– Dobrze, doktorze.

Thad Beaumont opuścił szpital dziesięć dni po operacji. Przez prawie sześć następnych miesięcy lewa strona jego ciała była niepokojąco słaba, a od czasu do czasu, gdy czuł się bardzo zmęczony, widział przed oczami dziwne, niezupełnie chaotyczne wzory ze świetlistych błysków.

Matka kupiła mu w prezencie starego remingtona 32 i te błyski światła najczęściej pojawiały się, gdy zgarbiony siedział nad maszyną przed snem, usiłując wyrazić coś we właściwy sposób lub wymyślić,

co powinno się teraz wydarzyć w jego opowieści. W końcu one także minęły.

Ów dziwny, urojony odgłos ćwierkania – odgłos dywizjonów lecących wróbli – w ogóle nie powrócił po operacji.

Thad nadal pisał, zyskując pewność siebie i cyzelując rodzący się własny styl. Swoje pierwsze opowiadanie sprzedał „American Teen” sześć lat po tym, jak zaczęło się jego prawdziwe życie. Później po prostu nigdy nie wracał myślami do przeszłości.

Z tego, co wiedzieli rodzice Thada i on sam, jesienią jedenastego roku jego życia z płąta przedczołowego mózgu usunięto mu łagodnego guza. Gdy Thad w ogóle o tym myślał (co z biegiem lat zdarzało się coraz rzadziej), dochodził jedynie do wniosku, że miał niezmiernie dużo szczęścia, że przeżył.

Wielu pacjentów, którzy przeszli w tych prymitywnych czasach operację mózgu, nie przeżyło.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LUDZIE BĘDĄ GADAĆ

1

Wydanie magazynu „People” z dwudziestego trzeciego maja było całkiem zwyczajne.

Okladkę zdobiło zdjęcie Martwego Celebryty tygodnia, gwiazdora rock and rolla, który powiesił się w więziennej celi po tym, jak aresztowano go za posiadanie kokainy i rozmaitych pokrewnych jej narkotyków. Wewnątrz numeru znajdował się tradycyjny bogaty zestaw tematów: dziewięć niewyjaśnionych morderstw na tle seksualnym w opustoszałej zachodniej części Nebraski; guru zdrowego odżywiania, którego przymknięto za dziecięcą pornografię; gospodyni domowa z Marylandu, która wyhodowała kabaczek przypominający nieco popiersie Jezusa Chrystusa – o ile patrzyło się na niego spod półprzymkniętych powiek w ciemnym pokoju; dzielna niepełnosprawna dziewczyna trenująca do nowojorskiego maratonu rowerowego; rozwód w Hollywood; małżeństwo członków nowojorskiej socjety; zapaśnik dochodzący do zdrowia po ataku serca; komik broniący się przed sądowym pozwem o alimenty.

Był tam również artykuł o przedsiębiorcy z Utah, który wprowadzał na rynek nową lalkę o nazwie Yo Mamma! Wyglądała rzekomo jak „teściowa, za którą wszyscy przepadają (?)”. Miała wmontowany magnetofon, który wyrzucał z siebie fragmenty dialogu, takie jak: „W moim domu, gdy dorastał, kolacja nigdy nie była zimna, moja droga” i „Twój brat nigdy nie zachowuje się tak, jakbym miała nieświeży oddech, gdy przyjeżdżam na parę tygodni”. Prawdziwym

skandalem było to, że aby zmusić ją do mówienia, zamiast ciągnąć za sznurek na plecach lalki, kopało się pieprzoną babę z całej siły. „Yo Mamma! jest porządnie wywatowana, na pewno nie pęknie ani nie wyszczerbi ścian i mebli” – powiedział dumny wynalazca, pan Gaspard Wilmot (który, o czym wspomniano mimochodem, został kiedyś oskarżony o uchylanie się od płacenia podatku dochodowego – zarzuty wycofano).

Na stronie trzydziestej trzeciej tego zabawnego i pouczającego numeru najbardziej zabawnego i pouczającego amerykańskiego tygodnika znajdował się typowy dla „People” cięty, trafny i zjadliwy nagłówek: BIOGRAM.

– „People” – powiedział Thad do swojej żony Liz, gdy siedzieli ramię w ramię przy kuchennym stole, czytając powtórnie artykuł – lubi dochodzić do sedna sprawy. BIOGRAM. Jeżeli nie interesuje cię BIOGRAM, przejdź do W TARAPATACH i poczytaj o dziewczynach, które upijają się do nieprzytomności w samym sercu Nebraski.

– Gdy się nad tym porządnie zastanowić, nie jest to zbyt zabawne – odparła Liz Beaumont, po czym zepsuła efekt swojej wypowiedzi, parskając śmiechem w zaciśniętą dłoń.

– Nie do śmiechu, ale z pewnością osobliwe – zauważył Thad i zaczął znowu kartkować artykuł. Robiąc to, w roztargnieniu pocierał małą białą bliznę na czole.

Jak w większości numerów „People”, tak i w tym dział BIOGRAMÓW był jedynym, gdzie więcej powierzchni przeznaczono na tekst niż na zdjęcie.

– Żałujesz, że to zrobiłeś? – zapytała Liz.

Nasłuchiwała odgłosów bliźniąt, ale na razie spisywały się na medal, śpiąc jak susły.

– Po pierwsze – odparł Thad – sam tego nie zrobiłem. Zrobiliśmy to wspólnie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, pamiętasz?

Postukał palcem w zdjęcie na drugiej stronie artykułu. Ukazywało ono jego żonę podającą blachę ciastek czekoladowych z orzechami Thadowi, który siedział przy maszynie do pisania. Jeżeli na kartce pod wałkiem w ogóle było coś napisane, to nie dało się tego stwierdzić. Może i dobrze, bo pewnie był to jakiś bełkot. Pisanie zawsze stanowiło dla niego ciężką pracę i nie było rzeczą, którą mógł robić

na oczach czytelników, szczególnie gdy jeden z nich przypadkiem był fotografem magazynu „People”. O wiele łatwiej przychodziło to George’owi, ale dla Thada Beaumonta było cholernie trudne. Gdy próbował pisać – czasem z powodzeniem – Liz nie zbliżała się do niego. Nie przynosiła mu telegramów, a tym bardziej czekoladowych ciastek.

– Tak, ale...

– Po drugie...

Spojrzał na zdjęcie, na którym Liz stała z ciastkami, a on patrzył na nią. Oboje uśmiechali się szeroko. Te uśmiechy wyglądały dość osobliwie na twarzach ludzi, którzy choć sympatyczni, ostrożnie dawkowali rzeczy tak proste jak uśmiech. Wrócił pamięcią do czasów, gdy pełnił funkcję przewodnika na Szlaku Appalachów w Maine, w stanie New Hampshire, i Vermontie. W tamtych niewesołych czasach miał w domu szopa pracza, Johna Wesleya Hardinga. Nie żeby jakoś próbował go oswoić; szop po prostu przyłączył się do niego. Stary J.W., podobnie jak Thad, lubił sobie łyknąć w zimny wieczór, a czasem, gdy dostał nieco więcej z butelki, uśmiechał się właśnie tak.

– Po drugie co?

Po drugie, w tym, że pisarz nominowany kiedyś do National Book Award i jego żona szczerzą do siebie zęby w uśmiechu niczym para pijanych szopów, jest coś zabawnego, pomyślał i ryknął śmiechem, którego nie był w stanie już dłużej powstrzymać.

– Obudzisz bliźnięta!

Thad bez powodzenia usiłował stłumić salwy śmiechu.

– Po drugie, wyglądamy jak para idiotów i ani trochę mi to nie przeszkadza – odparł, przytulił ją mocno i pocałował w szyję.

W drugim pokoju rozległ się najpierw płacz Williama, a potem Wendy.

Liz próbowała spojrzeć na męża z wyrzutem, ale nie potrafiła. Tak miło było słyszeć, jak się śmieje. Chyba dlatego, że robił to zbyt rzadko. Dźwięk jego śmiechu miał dla niej nieziemski, egzotyczny urok. Thad Beaumont nigdy się nie zaliczał do wesołków.

– To moja wina – rzekł. – Przyniosę je.

Zaczął się podnosić, trącił stół i omal go nie wyrzucił. Był

człowiekiem delikatnym, lecz dziwnie niezdarnym; wciąż miał w sobie tę chłopięcą cechę.

Liz chwyciła dzban z kwiatami, którym udekorowany był stół, tuż przedtem, zanim zdążył się zsunąć i roztrzaskać na podłodze.

– No nie, Thad! – zawołała, ale potem też zaczęła się śmiać.

Usiadł na chwilę z powrotem i nie tyle wziął Liz za rękę, ile pieścił delikatnie jej dłoń w swoich dłoniach.

– Słuchaj, ślicznotko, przeszkadza ci to?

– Nie – odparła.

Przez moment miała zamiar powiedzieć: „Ale mnie to niepokoi. Nie dlatego, że mamy trochę głupie miny, ale... cóż, nie wiem dlaczego. Po prostu mnie trochę niepokoi, i już”.

Miała zamiar, ale nie powiedziała tego. Ścisnęła go za rękę.

– Nie – powtórzyła. – Nie przeszkadza. Myślę, że to niezła zabawa. A jeżeli ta reklama pomoże *Złotemu psu*, gdy wreszcie poważnie zajmiesz się dokończeniem tej cholernej książki, to tym lepiej.

Wstała, wciskając go w krzesło, gdy próbował do niej dołączyć.

– Możesz je przynieść następnym razem – powiedziała. – Chcę, żebyś tu siedział, dopóki nie minie twe podświadome pragnienie stłuczenia mojego wazonu.

– W porządku – odparł i się uśmiechnął. – Kocham cię, Liz.

– Ja też cię kocham.

Poszła po bliźnięta, a Thad Beaumont zaczął znowu kartkować swój BIOGRAM.

W odróżnieniu od większości artykułów w tygodniku „People” krótka biografia Thaddeusa Beaumonta nie zaczynała się od całostronicowej fotografii, lecz od zdjęcia, które zajmowało niespełna ćwierć strony. Mimo to przyciągało wzrok, ponieważ jakiś grafik mający doskonale wyczucie niezwykłości umieścił zdjęcie, które ukazywało Thada i Liz na cmentarzu, w czarnej obwódce. Wiersze druku poniżej w zestawieniu z fotografią odznaczały się prawie brutalnym kontrastem.

Na zdjęciu Thad trzymał szpadel, a Liz kilof. Z boku stały taczki z kolejnymi cmentarnymi narzędziami. Na samym grobie ułożono kilka bukietów kwiatów, ale napis na płycie nagrobnej był nadal

doskonale czytelny.

GEORGE STARK

1975–1988

Niezbýt sympatyczny facet

W niemal rażącym kontraście z miejscem i pozornym aktem (niedawno dokonanym pochówkiem kogoś, kto sądząc z dat, powinien być nastolatkiem) tych dwoje fałszywych kościelnych wymieniało uścisk dłoni nad świeżo ułożoną darnią i śmiało się radośnie.

Była to oczywiście scena upozowana. Wszystkie zdjęcia ilustrujące artykuł – grzebanie ciała, pokazywanie ciastek oraz to z Thadem wędrującym samotnie jak chmura opustoszałą drogą w lasach Ludlow, przypuszczalnie „szukającym pomysłów” – zostały upozowane. Było to zabawne. Liz kupowała „People” w supermarkecie przez ostatnich pięć lat i oboje naśmiewali się z magazynu, ale oboje kolejno przeglądali go przy kolacji bądź w toalecie, jeżeli nie mieli pod ręką dobrej książki. Thad rozmyślał czasami o sukcesie czasopisma, zastanawiając się, czy tak niesamowitą popularność zawdzięcza ono poświęcaniu uwagi życiu celebrytów, czy po prostu sposobowi, w jaki było składane, z tymi wielkimi czarno-białymi fotografiami i tłustym drukiem tekstów złożonych głównie z prostych zdań orzekających. Nigdy jednak nie przyszło mu na myśl, by się zastanawiać, czy te zdjęcia są inscenizowane.

Autorem fotografii była kobieta, Phyllis Myers, która poinformowała ich, że wcześniej zrobiła sporo zdjęć pluszowym misiom w dzieciennych trumnach, a wszystkie pluszaki były odziane w dziecięce ubranka. Miała nadzieję, że sprzeda je jako album dużemu nowojorskiemu wydawcy. Dopiero drugiego dnia wywiadu i sesji zdjęciowej Thad zdał sobie sprawę, że fotografka bada, czy napisałby do niego tekst. *Śmierć i pluszowe misie* – wyjaśniła – byłby „ostatecznym, doskonałym komentarzem do amerykańskiego sposobu umierania, nie sądzisz, Thad?”.

Uważał, że w świetle jej dość makabrycznych zainteresowań to, iż Myers zamówiła płytę nagrobną George’a Starka i przywiozła ją

z Nowego Jorku, wcale nie jest zaskakujące. Płytę zrobiono z *papier mâché*.

– Nie macie chyba nic przeciwko temu, żeby ucisnąć sobie dłonie na jej tle? – zapytała ich z uśmiechem, który był równocześnie zalotny i pełen samozadowolenia. – Wyjdzie z tego wspaniałe ujęcie.

Liz krytycznie nastawiona do pomysłu i trochę nim przerażona spojrzała na Thada. Oboje popatrzyli z osłupieniem na imitację płyty nagrobnej, która przyjechała z Nowego Jorku (siedziby magazynu „People”) do Castle Rock w stanie Maine (letniego domu Thada i Liz Beaumontów). Wzrok Thada stale przyciągały słowa wyryte na płycie:

Niezbyt sympatyczny facet

Zasadniczo historia, którą „People” pragnął opowiedzieć czytelnikom śledzącym z zapartym tchem losy amerykańskich celebrytów, okazała się całkiem prosta. Thad Beaumont był uznanym pisarzem, którego pierwsza powieść *Niespodziewany taniec* uzyskała w 1972 roku nominację do National Book Award. Tego rodzaju wyróżnienie przydało mu pewnego znaczenia wśród krytyków literackich, lecz ludzi śledzących z zapartym tchem życie amerykańskich celebrytów mało obchodził Thad Beaumont, który potem opublikował pod własnym nazwiskiem tylko jedną powieść. Człowiek, który rzeczywiście ich obchodził, wcale nie był prawdziwą postacią. Thad napisał jeden wielki bestseller i trzy stanowiące jego kontynuację, niezmiernie poczytne powieści pod innym nazwiskiem. Brzmiało ono oczywiście George Stark.

Jerry Harkavay, będący jedynym pracownikiem Associated Press w Waterville, pierwszy szerzej ujawnił historię George’a po tym, gdy agent Thada, Rick Cowley, przekazał ją – za zgodą autora – Louise Booker z „Publishers Weekly”. Ani Harkavay, ani Booker nie poznali całej historii – przede wszystkim dlatego, że Thad stanowczo sprzeciwił się wspomnianiu o tym małym przymilnym kutasie Fredericku Clawsonie – ale była ona wystarczająco interesująca, by zasłużyć na szersze rozpowszechnienie, niż mogły zapewnić serwis prasowy AP bądź magazyn branżowy wydawców książek. Clawson

zdaniem Thada nie był tematem, a tylko dupkiem, który zmuszał ich do ujawnienia tej historii.

W trakcie pierwszego wywiadu Jerry zapytał go, jakim człowiekiem jest George Stark. „George – odparł Thad – to niezbyt sympatyczny facet”. Ta wypowiedź trafiła na początek wywiadu, zainspirowała też Myers do zamówienia imitacji płyty nagrobnej z wyrytymi na niej tymi słowami. Dziwny świat. Bardzo dziwny świat.

Ni z tego, ni z owego Thad znowu wybuchnął śmiechem.

2

Na czarnym polu pod zdjęciem Thada i Liz zrobionym w jednym z ładniejszych parków sztywnych w Castle Rock widniały dwie linijki białego druku.

ZMARŁY BYŁ NIEZMIERNIE BLISKI I DROGI TYM DWOJGU LUDZIOM – głosiła pierwsza.

DLACZEGO WIĘC SIĘ ŚMIEJĄ? – brzmiała druga.

– Dlatego że świat to kurewsko dziwne miejsce – odparł Thad Beaumont i parsknął, zasłoniwszy dłonią usta.

Liz Beaumont nie była jedyną osobą, która czuła lekkie zażenowanie tym dziwnym, nagłym rozgłosem. On sam też czuł się trochę skrępowany. Tak czy inaczej, trudno mu było pohamować śmiech. Przestał na kilka sekund, po czym z jego ust znowu wydobył się rechot, gdy słowa: „Niezbyt sympatyczny facet” przykuły wzrok. Próby powstrzymania śmiechu przypominały próby załatania dziur w zbudowanym byle jak wale ziemnym; gdy tylko zatykałeś jeden wyciek, nowy pojawiał się w innym miejscu.

Thad podejrzewał, że w takiej niepohamowanej wesołości jest coś niestosownego – jakaś forma hysterii. Wiedział, że poczucie humoru rzadko, jeśli w ogóle, ma związek z podobnymi napadami. Tak naprawdę ich przyczyną zazwyczaj jest coś zupełnie innego.

Być może coś, czego należało się bać.

Boisz się jakiegoś cholernego artykułu w „People”? Tak właśnie myślisz? Głupek. Boisz się, że będziesz zażenowany, że twoi koledzy z wydziału anglistyki spojrzą na te zdjęcia i uznają, iż odebrało ci

resztki rozumu?

Nie. Nie miał się czego bać ze strony kolegów, nawet tych, którzy pracowali tam od epoki przedludowcowej. Wreszcie miał stały etat, a także wystarczająco dużo forsy, by stawić życiu czoło jako – fanfary, proszę! – pełnoetatowy pisarz, gdyby tego zapragnął (nie był pewien, czego pragnie; biurokratyczno-administracyjne strony życia akademickiego niezbyt mu się podobały, ale nauczanie było po prostu świetne). Nie bał się również dlatego, że już parę lat temu przestał się zbyt przejmować tym, co o nim myślą koledzy. Owszem, obchodziło go, co myślą o nim przyjaciele, a w pewnych wypadkach jego przyjaciele, przyjaciele Liz oraz ich wspólni przyjaciele byli jego kolegami, lecz uważał, że ci ludzie także mogą to uznać za rodzaj błahostki.

Jeżeli było się czego bać, to...

Skończ, rozkazał jego umysł oschłym, poważnym tonem, który nawet najbardziej hałaśliwych z jego studentów potrafił uciszyć i przyprowadzić o błądliwość twarzy. Natychmiast skończ z tymi idiotyzmami.

Nic z tego. Choć ów głos mógł skutecznie poskramiać jego studentów, nad samym Thadem nie miał żadnej władzy.

Znowu spojrzął na zdjęcie i tym razem nie zwrócił uwagi na głupie miny, które oboje z żoną stroili do siebie niczym dwoje przedrzeźniających się dzieci.

GEORGE STARK

1975–1988

Niezbyt sympatyczny facet

Właśnie to budziło w nim zakłopotanie.

Ta płyta nagrobna. To nazwisko. Te daty. A przede wszystkim to zabarwione goryczą epitafium, które przyprowadzało go o rechot, lecz nie wiedzieć czemu w ogóle nie było zabawne.

To nazwisko.

To epitafium.

– Nieważne – mruknął. – Skurwysyn już nie żyje.

Ale zakłopotanie nie zniknęło.

Gdy Liz wróciła ze świeżo przewiniętymi i przebranymi bliźniętami

na rękach, Thad znowu siedział pochylony nad artykułem.

– Czy ja go zamordowałem?

Thaddeus Beaumont, kiedyś obwołany najbardziej obiecującym powieściopisarzem Ameryki, nominowany w 1972 roku do National Book Award za *Niespodziewany taniec*, powtarza w zamyśleniu to pytanie. Wydaje się lekko speszony.

– Zamordowałem? – mówi znowu cicho, jakby to słowo wcześniej nigdy nie przyszło mu do głowy... mimo że jego „mroczna połowa”, jak nazywa George’a Starka, tak naprawdę myśli prawie wyłącznie o mordowaniu.

Z szerokiego kamiennego dzbanka stojącego obok staroświeckiej maszyny do pisania marki Remington wyciąga ołówek Berol Black Beauty (według Beaumonta Stark niczym innym nie pisał) i zaczyna go lekko obgryzać. Sądząc po wyglądzie tuzina innych ołówków w dzbanku, obgryzanie to utrwalony nawyk.

– Nie – mówi w końcu, wrzucając ołówek z powrotem do dzbanka. – Nie zamordowałem go. – Unosi wzrok i rozciąga usta w uśmiechu. Beaumont ma trzydzieści dziewięć lat, lecz gdy się tak szczerze uśmiecha, można by go wziąć za kogoś z jego studentów. – George umarł śmiercią naturalną.

Beaumont twierdzi, że George Stark to pomysł jego żony. Elizabeth Stephens Beaumont, spokojna i śliczna blondynka, nie chce przypisywać sobie całej zasługi.

– Zasugerowałam tylko – wyjaśnia – by napisał powieść pod innym nazwiskiem i zobaczył, co się z nią stanie. Thad cierpiał na zupełny brak weny i potrzebował pomocy z zewnątrz. I tak naprawdę – śmieje się – George Stark istniał od samego początku. Widziałam ślady jego istnienia we fragmentach niedokończonych tekstów, które Thad pisał od czasu do czasu. Chodziło jedynie o zmuszenie go, żeby się ujawnił.

Według wielu rówieśników Beaumonta jego problemy polegały nie tylko na zaniku inwencji twórczej. Co najmniej dwaj znani pisarze (którzy nie chcieli, by powoływać się na nich bezpośrednio) twierdzą, że w tym kluczowym okresie między

pierwszą a drugą książką obawiali się o jego zdrowie psychiczne. Jeden z nich uważa, że Beaumont mógł próbować popełnić samobójstwo po opublikowaniu *Niespodziewanego tańca*, który przyniósł mu więcej uznania krytyków niż wpływów ze sprzedaży.

Zapytany, czy myślał kiedyś o popełnieniu samobójstwa, Beaumont tylko kręci głową i odpowiada:

– To jakiś idiotyczny wymysł. Prawdziwym problemem nie było przyjęcie powieści przez czytelników; był nim zanik inwencji twórczej. A martwi pisarze cierpią na jego nieuleczalną postać.

Tymczasem Liz Beaumont stale „forsowała” – tak określił to Beaumont – pomysł przyjęcia pseudonimu literackiego.

– Powiedziała, że chociaż raz mogę się dobrze zabawić, jeśli zechcę. Napisać, co mi się podoba, nie bacząc na ewentualne opinie recenzentów „The New York Times Book Review”. Że mogę napisać western, powieść sensacyjną, książkę science fiction. Albo kryminał.

Thad Beaumont uśmiecha się szeroko.

– Myślę, że kryminał wymieniła na samym końcu celowo. Wiedziała, że bawiłem się myślą o powieści kryminalnej, choć wydawało się, że nie dam sobie z tym rady. Pomysł z pseudonimem dziwnie mnie pociągał. Na swój sposób dawał poczucie swobody... niczym ukryte wyjście awaryjne, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Ale było jeszcze coś. Coś, co bardzo trudno wytłumaczyć.

Beaumont wyciąga rękę ku porządnie zatemperowanym ołówkom w kamiennym dzbanie, po czym ją cofa. Patrzy w głąb swego gabinetu, gdzie przez przeszkloną ścianę widać wielkie wiosenne widowisko z udziałem zieleniących się drzew.

– Myśl o pisaniu pod pseudonimem przypominała myśl o byciu niewidzialnym – mówi w końcu niemal z wahaniem. – Im bardziej się nią bawiłem, tym silniej czułem, że to by oznaczało... wymyślenie siebie na nowo.

Ręka Thada wysuwa się ukradkiem i tym razem udaje się jej zwędzić jeden z ołówków z dzbana, gdy jego umysł zajęty jest

czymś innym.

Thad przewrócił kartkę, po czym spojrzał na bliźnięta usadowione na wysokim podwójnym krześle. Bliźnięta różnej płci zawsze cechuje braterskie podobieństwo... albo bratersko-siostrzane, gdybyśmy nie chcieli podchodzić do tego niczym męskie szowinistyczne świnię. Jednakże Wendy i William byli niemal identyczni, nie będąc identycznymi.

William uśmiechnął się do Thada z butelką w buzi.

Wendy także się do niego uśmiechnęła znad butelki, lecz ona paradowała z wyposażeniem, którego nie miał jej brat – z jednym zębem przednim, który wyrósł bez cienia bólu, przebijając po prostu powierzchnię dziąsła równie bezgłośnie, jak peryskop łodzi podwodnej wysuwa się spod powierzchni oceanu.

Wendy odsunęła pulchną rączkę od plastikowej butelki, otworzyła ją, ukazując czystą różową dłoń. Zamknęła ją. I otworzyła. Skinienie Wendy.

Nie patrząc na siostrę, William odsunął rączkę od swojej butelki, otworzył ją, zamknął i znowu otworzył. Skinienie Williama.

Thad z namaszczeniem uniósł rękę znad stołu, otworzył ją, zamknął i znowu otworzył.

Bliźnięta uśmiechnęły się szeroko z butelkami w buziach.

Thad znowu spojrzał na magazyn. Ach, „People”, pomyślał, gdzie byłibyśmy i co byśmy bez was zrobili. Ludzie to czas amerykańskich gwiazd.

Autor wywlekl oczywiście wszystkie brudy, które dało się wywlec – a w szczególności czteroletnią złą passę po tym, jak *Niespodziewany taniec* nie zdobył National Book Award – ale tego należało się spodziewać i Thad niespecjalnie się przejął tym popisem. Po pierwsze, nie było to aż tak brudne, a po drugie, zawsze uważał, że łatwiej jest żyć w prawdzie niż w kłamstwie. Przynajmniej na dłuższą metę.

Co oczywiście wywołało pytanie, czy magazyn „People” i „dłuższa meta” mają cokolwiek wspólnego.

No cóż. Teraz już za późno.

Człowiek, który napisał ten artykuł, miał na imię Mike – tyle pamiętał, ale jaki Mike? Jeżeli nie byłeś hrabią gawędzącym o

członkach rodziny królewskiej lub gwiazdą filmową paplającą o innych gwiazdach, twoje nazwisko pojawiało się na końcu tekstu. Thad musiał przerzucić cztery kartki (z których dwie stanowiły całostronicowe reklamy), żeby odnaleźć nazwisko autora. Mike Donaldson. Obaj z Mikiem siedzieli do późna w nocy, kłapiąc po prostu ozorem, i gdy Thad zapytał go, czy ktokolwiek naprawdę zainteresuje się tym, że napisał kilka książek pod innym nazwiskiem, Donaldson powiedział coś, co sprawiło, że Thad ryknął śmiechem.

„Badania wykazują, że większość czytelników »People« ma niezmiernie wąskie nosy. To powoduje, że trudno im wybrać, więc wybierają tylu przyjaciół innych ludzi, ilu tylko mogą. Będą chcieli się dowiedzieć wszystkiego o twoim przyjacielu George’u”.

„On nie jest moim przyjacielem” – odparł Thad, nie przestając się śmiać.

Teraz zapytał Liz, która poszła do kuchni:

– Radzisz sobie, ślicznotko? Potrzebujesz pomocy?

– Nie – odparła. – Gotuję kleik dla dzieciaków. Nie macie jeszcze siebie dosyć?

– Jeszcze nie – odparł bezwstydnie Thad i wrócił do lektury artykułu.

– Najtrudniejszy problem faktycznie stanowiło nazwisko – ciągnie Beaumont, lekko obgryzając ołówek. – Ale ono było ważne. Wiedziałem, że to może zadziałać. Wiedziałem, że mógłbym pobudzić inwencję twórczą, z której zanikiem się zmagalem... gdybym miał jakąś tożsamość. Odpowiednią tożsamość, odmienną od mojej.

Jak wybrał George’a Starka?

– Cóż, jest autor powieści kryminalnych, który nazywa się Donald E. Westlake – wyjaśnia Beaumont. – I pod swoim prawdziwym nazwiskiem Westlake wykorzystuje ten gatunek do pisania bardzo zabawnych komedii obyczajowych z życia Amerykanów. Ale od początku lat sześćdziesiątych do mniej więcej połowy lat siedemdziesiątych stworzył cykl powieści pod pseudonimem Richard Stark i te książki są zupełnie inne. Opowiadają o człowieku nazwiskiem Parker, który jest

zawodowym złodziejem. Nie ma przeszłości ani przyszłości i w najlepszych powieściach cyklu nie interesuje go nic poza rabowaniem. W każdym razie z siebie tylko wiadomych powodów Westlake w końcu przestał pisać o Parkerze, lecz ja nigdy nie zapomniałem tego, co powiedział po ujawnieniu jego pseudonimu literackiego. Wyznał, że on pisze książki w dni słoneczne, a Stark przejmując pisarskie obowiązki, gdy pada deszcz. Spodobało mi się to, ponieważ okres między 1973 a początkiem 1975 roku był dla mnie czasem niepogody. W najlepszej z tych powieści Parker tak naprawdę bardziej przypomina robota zabójcę niż człowieka. Niemal stałym motywem jest w nich obrabowany rabuś. I Parker załatwia złoczyńców – to znaczy innych złoczyńców – właśnie jak robot, który został zaprogramowany w jednym jedynym celu. „Chcę mojej forsy” – oświadcza i właściwie nie mówi nic więcej. „Chcę mojej forsy, chcę mojej forsy”. Czy to ci kogoś przypomina?

Przeprowadzając wywiad dziennikarz kiwa głową. Beaumont opisuje Alexisa Machine’a, głównego bohatera pierwszej i ostatniej powieści George’a Starka.

– Gdyby *Sposób Machine’a* zakończył się tak, jak się zaczął, na zawsze wrzuciłbym go do szuflady – mówi Beaumont. – Publikując ją, popełniłbym plagiat. Ale mniej więcej w jednej czwartej tekstu powieść znalazła własny rytm i wszystko po prostu zaskoczyło.

Dziennikarz pyta, czy to znaczy, że w trakcie pracy nad tą książką George Stark przebudził się i zaczął mówić własnym głosem.

– Owszem – potwierdza Beaumont. – To dość trafna uwaga.

Thad uniósł wzrok, znowu omal nie wybuchając mimowolnym śmiechem. Bliźnięta zobaczyły to i odpowiedziały uśmiechem, mając buzie pełne przecieru z groszku, którym karmiła je Liz. Pamiętał, że naprawdę odparł: „Chryste Panie, ależ to melodramatyczne! W twoich ustach brzmi to niczym fragment *Frankensteina*, w którym piorun w końcu uderza w preł na najwyższej baszcie zamku i ożywia potwora!”.

– Jeżeli nie przestaniesz, nie uda mi się ich nakarmić – zauważyła Liz.

Na nosie miała grudkę przecieru i Thad poczuł absurdalną chęć ssałowania jej z czubka.

– Czego nie przestanę?

– Ty się uśmiechasz, to i one się uśmiechają. Nie można karmić roześmianego dziecka.

– Przepraszam – rzekł pokornie i mrugnął do bliźniąt.

Ich usta w zielonych obwódkach rozciągnęły się na chwilę jeszcze szerzej w identycznych uśmiechach.

Potem Thad spuścił oczy i czytał dalej.

– Zacząłem pisać *Sposób Machine’a* w 1975 roku, w dniu, w którym wymyśliłem pseudonim, ale pojawił się jeszcze jeden problem. Gdy szykowałem się wieczorem do pisania, wkręciłem kartkę do maszyny... po czym wyciągnąłem ją spod wałka. Wszystkie moje książki pisałem dotąd na maszynie, ale George Stark okazał się przeciwnikiem maszyn do pisania. – I znowu na chwilę błysnął szerokim uśmiechem. – Może dlatego, że nie mieli zajęć z maszynopisania w żadnym z więzień, w których siedział.

Beaumont nawiązuje do „biogramu z obwoluty”, stwierdzającego, że autor ma trzydzieści dziewięć lat i odsiadywał wyroki w trzech różnych zakładach penitencjarnych za podpalenie, zbrojną napaść oraz usiłowanie zabójstwa. Biogram z obwoluty jest jednak tylko częścią historii; Beaumont wyciąga również arkusz biograficzny z Darwin Press przedstawiający dzieje jego alter ego w drobiazgowy sposób, życiorys, który tylko dobry powieściopisarz potrafiłby stworzyć z niczego. Od narodzin w Manchesterze w stanie New Hampshire do ostatecznego osiedlenia się w Oxfordzie w stanie Missisipi jest tam wszystko z wyjątkiem pochówku George’a Starka na Homeland Cemetery w Castle Rock w stanie Maine przed sześcioma tygodniami.

– W jednej z szuflad biurka znalazłem stary notatnik i użyłem tego. – Wskazuje w kierunku kamiennego dzbana z

ołówkami i wydaje się lekko zaskoczony, widząc, że trzyma jeden z nich w wyciągniętej dłoni. – Zacząłem pisać i zanim się spostrzegłem, Liz mówiła mi, że jest północ, i pytała, czy mam zamiar iść spać.

Liz Beaumont ma własne wspomnienie tamtego wieczoru:

– Obudziłam się za kwadrans dwunasta, zobaczyłam, że nie ma go w łóżku, i pomyślałam: Pewnie pisze. Nie słyszałam jednak stukania maszyny i trochę się przestraszyłam.

Jej twarz sugeruje, że chyba bardziej niż trochę.

– Kiedy zesłam na parter i zobaczyłam, że gryzmoli w notatniku, zupełnie mnie zatkało. – Śmieje się. – Nosem dotykał niemal papieru.

Dziennikarz pyta, czy poczuła ulgę.

– Ogromną – odpowiada Liz Beaumont łagodnym, wyważonym tonem.

– Przerzuciłem kartki notatnika i spostrzegłem, że zapisałem szesnaście stron bez jednego skreślenia – wspomina Beaumont. – I że zestrugałem trzy czwarte nowiutkiego ołówka. – Spogląda na dzban z miną, która może wyrażać melancholię lub skrywane poczucie humoru. – Skoro George nie żyje, chyba powinienem wyrzucić te ołówki. Sam ich przecież nie używam. Próbowałem. To po prostu się nie sprawdza. Ja nie potrafię pracować bez maszyny do pisania. Ręka mi się męczy i głupieje. Ręce George’a nigdy się to nie zdarzało.

Unosi wzrok i enigmatycznie puszcza oko.

– Kochanie?

Popatrzył na żonę, która skupiała się na wkładaniu Williamowi do buzi resztek groszkowego przecieru. Sporą jego część chłopczyk miał na śliniaczku.

– Słucham?

– Spójrz na mnie przez chwilę.

Spojrzała.

Thad mrugnął i zapytał:

– Czy to było enigmatyczne?

– Nie, skarbie.

– Tak też myślałem.

Reszta tej opowieści stanowi kolejny paradoksalny rozdział w szerszej historii tego, co Thad Beaumont nazywa „powieścią według dziwaków”.

Sposób Machine’a został opublikowany w czerwcu 1976 roku przez niewielkie wydawnictwo Darwin Press (książki „prawdziwego” Beaumonta wydawał Dutton) i stał się niespodziewanym sukcesem, trafiając na pierwsze miejsce list bestsellerów jak Stany długie i szerokie. Na podstawie powieści nakręcono również wielki przebój kinowy.

– Długo czekałem, aż ktoś odkryje, że ja to George, a George to ja – mówi Beaumont. – Prawa autorskie zostały zastrzeżone w imieniu George’a Starka, ale wiedział mój agent oraz jego żona – jest jego byłą żoną, lecz pozostała pełnoprawną wspólniczką w firmie – i oczywiście dyrektorzy oraz rewident księgowy w Darwin Press. Musiał wiedzieć, bo George mógł pisać powieści odręcznie, ale miał drobny problem, podpisując чеки. No i oczywiście musiał o tym wiedzieć urząd podatkowy. Tak więc oboje z Liz przez półtora roku czekaliśmy, aż ktoś się wygada. To się nie stało. Myślę, że po prostu trafiło się ślepej kurze ziarno. Dowodzi to jedynie tego, że gdy myślimy, iż ktoś na pewno zdradzi sekret, wtedy wszyscy trzymają język za zębami.

I trzymali go przez następne dziesięć lat, a tymczasem nieuchwytny pan Stark, pisarz znacznie płodniejszy od swojej drugiej połowy, opublikował trzy kolejne powieści. Żadna z nich nie powtórzyła olśniewającego sukcesu *Sposobu Machine’a*, ale wszystkie trafiły na listy bestsellerów.

Po długiej chwili zadumany Beaumont zaczyna wyjaśniać, dlaczego w końcu postanowił zrezygnować z tej zyskowej szarady.

– Musisz pamiętać, że George Stark był przecież człowiekiem tylko na papierze. Lubilem go przez długi czas... i ten gość tłukł kasę, do cholery. Nazywałem to moją gwarancją wolności. Sama świadomość, że mógłbym zrezygnować z uczenia, gdybym

miał ochotę, i dalej spłacać kredyt hipoteczny, wywierała na mnie ogromnie wyzwalający wpływ. Chciałem jednak znowu pisać własne książki, a Starkowi brakowało pomysłów. Tak po prostu. Wiedzieliśmy o tym ja, Liz, mój agent... Chyba nawet wydawca George'a w Darwin Press o tym wiedział. Gdybym jednak zachował to w tajemnicy, pokusa napisania kolejnej powieści George'a Starka w końcu byłaby dla mnie zbyt silna. Jestem równie wrażliwy na syreni śpiew mamony jak wszyscy. Wydawało się, że rozwiązaniem będzie wbicie osikowego kołka w jego serce raz na zawsze. Innymi słowy – ujawnienie tego. I to właśnie zrobiłem. Prawdę mówiąc, robię teraz.

Thad z bladym uśmiechem uniósł wzrok znad tygodnika. Nagle jego zdumienie zainscenizowanymi zdjęciami w „People” wydało się trochę świętoszkowate i udawane. Fotografowie „People” nie byli bowiem jedynymi, którzy czasem aranżowali sytuację tak, aby wyglądała zgodnie z potrzebami i oczekiwaniami czytelników. Przypuszczał, że większość rozmówców dziennikarzy też to robi w mniejszym bądź większym stopniu. Sądził jednak, że chyba poradził sobie z tym lepiej niż niektórzy z nich; ostatecznie był przecież powieściopisarzem... a powieściopisarz to po prostu facet, któremu płacono za mijanie się z prawdą. Im bardziej kłamał, tym lepiej był wynagradzany.

„Starkowi brakowało pomysłów. Tak po prostu”.

Jakże szczere wyznanie.

Jakże ujmujące.

Jakże wierutnie kłamliwe.

– Kochanie?

– Tak?

Liz próbowała wytrzeć myjką buzię córce, której ten pomysł niezbyt się spodobał. Odwracała główkę, gaworząc z oburzeniem, a Liz starała się nadążyć za jej ruchami. Thad pomyślał, że żona w końcu ją dopadnie, chociaż nie wykluczał, iż najpierw się zmęczy. Wyglądało na to, że Wendy też nie wyklucza takiej możliwości.

– Czy słusznie zatailiśmy rolę, jaką w tym wszystkim odegrał Clawson?

– Przecież nie skłamaliśmy. Po prostu nie wymieniliśmy jego nazwiska.

– A on był durniem, prawda?

– Nie, skarbie.

– Nie był?

– Nie – odparła spokojnie Liz. Zaczęła teraz wycierać buzię Williamowi. – Był obrzydliwym mendoidem.

– Mendoidem? – prychnął Thad.

– Zgadza się. Mendoidem.

– Wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie słyszałem tego określenia.

– Widziałam je w zeszłym tygodniu na pudełku z filmem wideo, gdy szukałam w sklepie na rogu czegoś do wypożyczenia. Horror zatytułowany *Mendoidzi*. I pomyślałam: Cudownie. Ktoś nakręcił film o Fredericku Clawsonie i jego krewnych. Muszę o tym powiedzieć Thadowi. Ale zapomniałam.

– Więc naprawdę nie widzisz w tym nic niewłaściwego?

– Naprawdę nic – odparła i dłonią, w której trzymała myjkę, wskazała najpierw męża, a potem rozłożony na stole tygodnik. – Thad, dostałeś z tego tyle, ile ci się należało. Gawiedź też dostała należną jej część. A Frederick Clawson dostał gówna... czyli dokładnie to, na co zasłużył.

– Dzięki.

Wzruszyła ramionami.

– Proszę. Czasem za bardzo się przejmujesz.

– Czy to cię męczy?

– Tak... tylko to... William, no nie! Thad, gdybyś zechciał mi trochę pomóc...

Thad zamknął magazyn i zaniósł Willa do sypialni bliźniąt, idąc za żoną, która trzymała Wendy. Puciołowaty malec był ciepły i przyjemnie ciężki, zarzucił mu niedbale rączki na szyję i jak zwykle gapił się na wszystko wybaluszonymi z zaciekawienia oczami. Liz położyła córeczkę na stoliku do przewijania; Thad ułożył Willa na drugim. Oboje – Liz nieco szybszymi niż mąż ruchami – założyli im suche pieluchy.

– Cóż – rzekł Thad – pojawiliśmy się na łamach tygodnika „People” i na tym koniec. Dobrze?

– Dobrze – odparła z uśmiechem.

Wydał się on Thadowi trochę nieszczerzy, ale przypomniał sobie swój wcześniejszy napad wesołości i postanowił dać temu spokój. Czasem po prostu nie był pewien sytuacji – owa niepewność stanowiła rodzaj psychicznego odpowiednika jego fizycznej nieporadności – i wtedy czepiał się Liz. Rzadko mu odburkiwała, ale nieraz, gdy mówił zbyt długo, widział w jej oczach znużenie. Co ona powiedziała? „Czasem za bardzo się przejmujesz”.

Zapiął Willowi pieluchę, przytrzymując brzuszek wiercącego się radośnie malca, żeby nie stoczył się ze stolika i nie zabił, na co miał wyraźną ochotę.

– Kakaraka! – zawołał chłopczyk.

– Taak – zgodził się Thad.

– Titit! – wrzasnęła Wendy.

Jej tatuś skinął głową.

– To też brzmi sensownie.

– Dobrze, że go uśmierciliśmy – oświadczyła nagle Liz.

Thad uniósł wzrok. Zastanawiał się przez moment, po czym potwierdził skinieniem głowy. Nie było potrzeby określać, kim jest nieboszyk; wiedzieli to oboje.

– Taak.

– Nie przepadałam za nim.

„To straszne mówić tak o swoim mężu” – już chciał powiedzieć, ale zrezygnował. To nie było dziwne, ponieważ Liz nie mówiła o nim. Warsztat pisarski George’a Starka nie był jedyną istotną różnicą między nimi.

– Ja też nie – przyznał. – Co jest na kolację?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).